№ 39.

WARSZAWA.

27 Września.

1863.

REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.



„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wicenty á Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

BŁOGOSŁAWIONY

WŁADYSŁAW Z GIELNIOWA

BERNARDYN, PATRON POLSKI,

a osobliwie

WARSZAWY I GIELNIOWA.

—

Gdy nasz król Władysław Jagiełło po czterdziestoośmioletniem nad Polską panowaniu, zakończył życie w Gródku, a po nim syn jego dziesięcioletni Władysław, Warneńczykiem póżniej nazwany, pod opieką uczonego i zacnego męża arcybiskupa kardynała Zbigniewa Oleśnickiego zostający, na tron polski powołany został, i gdy w kilka lat potem w towarzystwie tegoż kardynała Oleśnickiego udał się na Wołoszczyznę i Multany dla przyjęcia hołdu i przysięgi, jakie sąsiedzcy i pobratymczy książęta z ludem polskiemu królowi złożyć pragnęli i złożyli, w tym czasie, w małem a istniejącem po dziś dzień miasteczku (1) Gielniowie, przyszło na świat dziecie, mające pomnożyć liczbę sług wiernych Chrystusa i błogosławionych polskiego kraju patronów. Był nim Władysław syn Piotra, któremu na chrzcie świętym dano imie Jan. Owemi czasy w Polsce, każdy z rycerzy, panów, czy szlachty przybierał nazwisko zwykle od wsi albo miasta; więc też i ojciec nowonarodzonego zamieszkując w pobliżu miasteczka, zwał się wprost Piotrem z Gielniowa, synowi takież samo zostawując miano.

Zdrowo i krzepko pod opieką bogobojnych rodziców wzrastające dziecie, gdy okazywać zaczęło większe nad wiek swój pojęcie i chęć do wyższych jak w szkółce odbierało wiadomości, rodzice po wspólnej naradzie, Boskiej poruczywszy pieczy, wysłali je do Krakowa na słynną już wowe czasy naukami i obyczaj-

(1) Miasteczko Gielniów leży w Sandomierskiem, wśrodku pomiędzy miastami: Opocznem, Drzewicą, Przysuchą, Gowarczewem, i Białaczowem. Mieszkańcy Gielniowa po największej części trudnią się rolnictwem. Wydobywanie kamieni, robienie z nich osełek i rozwożenie po kraju jest jednem z przemysłowych zajęć tamtejszych.

nością młodzieży, tameczną akademią. Nieprzewidując jak wielką łaską na żywot cały Bóg udarować raczył ich dziecie, cieszyli się pocziwi rodzice postępami w naukach i moralności, w których syn ich przewodniczył całej młodzi, Był wzorem pracy, bojaźni bożej, zadziwiającej ducha pokory i tej koleżeńskiej miłości, która zasadzając się na wspólnej pomocy, na wzajemnem niesieniu pociechy w strapieniu, na postępowaniu jakiego Bóg i Ojczyzna wymagają, przyciąga zawsze do siebie, wszystkie wyższe, nieskażone dusze i w trwałą, dozgonną przyjaźń się zamienia. Głęboka miłość Stwórcy, rozważanie dzieł świętych, usługa kapłanom, najmilszemi były bogobojnego Jana zatrudnieniami. Im też poświęcał wszystkie wolne od prac szkolnych chwile, najszczęśliwszy, gdy w wzniesieniu ducha mógł je w cichem jakiem przepędzić ustroniu.

Dwudziesty pierwszy rok życia był chwilą ukończenia nauk w akademij krakowskiej, a zarazem i powrotu młodziana pod rodzicielską strzechę. Zapytany przez ojca, jakiby stan sobie chciał obrać, prosił o kilka dni czasu do namysłu, które na postach trawiąc i modlitwie, gorąco prosił Boga o wskazanie drogi, na której mógłby najpożyteczniej służyć Ojczyznie i braciom. Wysłuchał Pan prożby wybranego swego. Święty Franciszek Seraficzny ukazał się we śnie młodzieńcowi, rozkazał obrać swój zakon, i w nim służyć Bogu. Jan zgodnie z wolą Stwórcy objawia ojcu chęć wstąpienia do zakonu; żegna rodziców, dziękując im za wychowanie i odebrane z ich troskliwości nauki; przybywa do Warszawy, i staje przed furtą Bernadyńskiego klasztoru, prosząc o przyjęcie do zgromadzenia. Chętnie zgodzili się na to ojcowie, widząc przy ujmującej łagodności, niezwykłą skromność młodzieńca a razem i naukę, zwykle dojrzałym tylko mężom dostępną. Przyjęty Jan do zgromadzenia, po całorocznym nowicyjacie, w czasie którego szczególną odznaczał się pobożnością, w dniu pierwszym Sierpnia 1462 roku wdział suknią zakonną, wraz z nią przybierając imię Władysława. Od chwili tej, zapomniawszy całkiem o sobie, duszę i serce poświęcił Panu, a wszystkie siły życia, braciom i kościołowi na usługi. Wybrany na urząd kaznodziei, w pokorze odrzekł: „Oby mi Bóg tylko z obowiązku tak wielkiego godnie wywiązać się pozwolił.“ Odtąd kształcąc się bezustannie na dziełach słynnych wymową kapłanów, i błagając Stwórcę, aby mu udzielił potrzebnych darów Ducha świętego, długi czas sprawował obowiązki kaznodziei z wielkim pożytkiem ludu, który zewsząd się zbiegał słuchać słowa bożego z ust świątobliwego kapłana. Ojcowie zakonni widząc w młodym współbracie wysokie zdolności, a przytem najdoskonalsze przymioty, obrali go jednozgodnie rządcą wszystkich bernardyńskich klasztorów, w całej naówczas Polsce istniejących. I tę godność z równą jak pierwej przyjął skromnością, a rządząc przezornie i świątobliwie, cztery razy na tenże sam urząd został wybranym. Wiele miał pracy błogosławiony Władysław, dzierżąc pod swoim zarządem dwadziścia cztery klasztory w odległych stronach kraju leżące, które pieszo zazwyczaj odwiedzał. Prócz tego z kijem pielgrzymim odbył dwa razy podróż do Rzymu, po błogosławieństwo Ojca Świętego, żyjąc w drodze z jałmużny.

W rodzinnym kraju, gdzie tyle serc bije poczciwych, gdzie na wezwanie utrudzonego wędrowca, tak możny jak i ubogi spieszy w imie Boże, podzielić z nim choćby ostatni kęs chleba, własną odstąpić na spoczynek strzechę, jednając tem dla rodzin i ziemi swej błogosławieństwo nieba, to nie bardzo była uciążliwą podróż świątobliwemu mężowi. Lecz gdy wypadło obce przechodzić kraje, gdzie słońce skwarnym dopiekało ogniem, drogi skaliste bose kaleczyły nogi, głód i pragnienie odbierały ostatki sił, a obcy ludzie nie spieszyli wesprzeć ubogiego pielgrzyma, gdzie nieraz i dni parę bez posiłku i bezpiecznego wypocznienia iść wypadało, wielkiej zaprawdę potrzeba było łaski Bożej, wielkiej siły ducha i miłości, by spełnić ofiarę i dokonać tak trudną podróż.

Nie zbrakło cnót tych błogosławionemu Władysławowi. W cieniu drzew wypoczywał, za pokarm służył mu znaleziony w drodze owoc, a woda za napój, lecz siła ducha krzepiła go, a jeśli nieraz upadał z głodu i znużenia, wznosił w niebo ręce i wołał: „Panie daj siłę wiernemu Twemu słudze, a przyjm tę jego ofiarę na uproszenie błogosławieństwa Twego dla ojczystej ziemi, zagrożonej strasznym zewsząd uciskiem!“ i na nowo natchniony mocą, zbliżał się do celu.

Po dokonaniu podróży za powrotem do rodzinnej ziemi, nowe prace niestrudzonego oczekiwały męża w nawracaniu, pogańskiej jeszcze naówczas Litwy. Wymowa jego i przykład to sprawiły, że odrazu dziesięć tysięcy przyjęło chrzest święty.

Pięćdziesiąty ósmy rok życia, a trzydziesty szósty gorliwego w kapłańskim zawodzie żywota upływał błogosławionemu Władysławowi, gdy po Kazimierzu Jagielończyku objął panowanie Jan Olbracht, oddawszy bratu swemu Aleksandrowi pod zarząd księstwo Litewskie. Do tej to krainy, jako i przyległych jej ziem polskich roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego dziewiątego (1499) wpadli Tatarzy, krwawą je niszcząc mordem i pożogą, a lud gromadami pędząc przed sobą w niewolę.

Boleśnie uczuł wiadomość tę mąż Boży, a nakazawszy w całej Polsce osobne nabożeństwo na uproszenie Stwórcy, sam z ludem po ukończeniu takowego, o oddalenie tej klęski gorące zanosił modły. Żarliwie przytem a pełne miłości bożej miewając kazania, pobudzał strapiony naród do ufności w Panu, którego miłosierdzie nieograniczone. I wysłuchał Bóg modłów, a co sile ludzkiej zdało się niepodobnem, to Wszechmocny w jednéj uczynił chwili. Wylewem wód niepamiętnym, a następnie lodem i mrozem ściśnieni Tatarzy, z głodu i zimna codzień ginęli, tak, iż z kilkudziesięciu tysięcy hordy, ledwo schorzałych garstka ujść zdołała, i ci przyznali, iż moc niewidzialna chyba przeciw nim wojuje.

Wielkie nakazał wówczas na podziękowanie Stwórcy Władysław z Gielniowa nabożeństwo, łącząc z niem i cześć Maryi, ku której od dzieciństwa gorącą chował miłość. Osłabiony latami pracy, ostrą pokutą i rozmyślaniem, skutkiem którego często aż w słodkie wpadał zachwycenie, niknął kapłan Boży na ciele, i upadał w siłach, co widząc ojcowie, prosić go zaczęli, by wybrawszy który z klasztorów na mieszkanie, wypoczął sobie, wziąwszy jednego z braci do posługi.

„Dzięki wam za troskliwość, odrzekł. Obiecałem Bogu służyć do śmierci, niech jednak czynią ojcowie ze mną, jako się im zdawa, chociaż ja czuję jeszcze siłę do pracy, bo Chrystus mnie w niej wspiera.“ Bracia jednak widząc z każdym dniem wątlejące zdrowie zakonnika, po wspólnej naradzie wyznaczyli mu na mieszkanie klasztor bernardynów w Warszawie. Zdawszy obowiązek przełożonego i kaznodziei, i takjak poprzednio umartwiając ciało, a krzepiąc duszę w modłach, na czem całe przepędzał noce, mąż święty wiódł ludzi natchnionononemi słowy ku miłości, wierze i poświęceniu, za wzór im dając Zbawcę naszego Jezusa Chrystusa. Nadszedł post wielki, w srogiej go spędził błogosławiony Władysław pokucie, na klęczkach przed krucyfixem w celi swej dnie i noce trawiąc. Tak wycieńczony i słaby ciałem, lecz silny duchem bożym, wszedł na ambonę w dzień Wielko-piątkowy, wylewać zgromadzonemu ludowi słowa z przepełnionego miłością serc płynące. Płacz rzewny rozległ się po kościele, a błogosławiony zakonnik zarówno łzami zalany, ujął w dłoń wyobrażenie syna Bożego przy słupie, przycisnął do piersi, wołając: „Jezu, Jezu, Jezu zmiłuj się nad nami“ i „w tej chwili, jak pisze uczony kapłan X. Piotr Pękalski w żywotach Świętych patronów polskich, wpadł w zachwycenie, a siłą nadprzyrodzoną nad mównicę podniesiony, stał w powietrzu jak wryty, mowy i czucia pozbawiony, w przytomności całego ludu na nabożeństwo zgromadzonego. Lud pobożny dziwem tym zatrwożony, żałosnym głosem napełniał świątynię pańską; a na ziemię upadając, polecał się Władysława modlitwie. Kiedy w tej postawie dość długą chwilę trwał w powietrzu Władysław, spuściwszy się potem z lekka do ambony, wnet uczuł wielką słabość w całem swem ciele, a to spowodowało braci zakonnych, że go z kościoła wynieść i w infirmeryi złożyć musiano. Potem wzmagała się coraz jego choroba, która siły jego przez cały miesiąc wątliła; a widząc, że już dobiegał doczesności kresu, w gorących modłach wzdychał do szczęśliwej ojczyzny dla prawdziwych sług bożych w niebie przygotowanej. Znosił on cierpliwie dotkliwą chorobę, a pełen zasług i czynów pobożnych, gorliwy ów wyznawca ścisłości zakonnej, na drogę wieczności Sakramentami św. zasilony, oddał Bogu ducha swojego d. 14 Maja tysiąc pięset piątego roku (1505), zostawiwszy braci zakonnych i powszechność warszawską w nieutulonym żalu i bolesnym pogrożoną smutku.“

Wszelkiego stanu i wieku mieszkańcy dążyli odwiedzić ciało świętego, a całując ręce, nogi i odzież jego kapłańską, nie za nim, lecz

za sobą błagali wstawienia. Śmiertelne szczątki sługi bożego do podziemnych grobów zaniesione, pochowanemi zostały na środku chóru zakonnego, gdzie skromnym naznaczone kamieniem, przez lat sześćdziesiąt spoczywały, nieprzestawając zjednywać łask dla proszącego o nie tu ludu. Zapragnął jednak Stwórca, by je w godniejszem miejscu złożono. Roku 1572 za panowania króla Zygmunta Augusta, równo z innemi pany i dostojnikami duchownymi, przybył do Warszawy na sejm Arcybiskup Stanisław Karnkowski, następnie Prymas Królestwa, a zwiedzając kościoły warszawskie, przybył do Bernardyńskiego, gdzie idąc przez chór zakonny upadł.

— „Czyj to jest nagrobek?“ pytał zakonników, dostrzegłszy kamień grobowy na tem miejscu, w którem upadł.

Sługi Bożego Władysława, rzekli, za którego przyczyną Wszechmocny zsyłać łask nie przestaje.

Z powodu tej okoliczności arcybiskup długo rozważał nad bogobojnem życiem spoczywającego tamże zakonnika Władysława. Tej samej nocy we śnie ukazał mu się Władysław, mówiąc do niego: „Rozkazuje Ojciec Wszechmogący, by kości moje wyjęte z podziemia, w widoczniejszem dla wiernych spoczywały miejscu.“ Naówczas do Warszawy przybyło dwóch kardynałów, opowiedziawszy im rzecz całą arcybiskup, zaraz po wspólnej naradzie ogłosić kazał z ambon akt przeniesienia zwłok błogosławionego Władysława. Jakoż w obec zebranych senatorów, wojewodów, posłów, obywateli i całej ludności Warszawy, oraz okolicznej, przy odprawieniu uroczystego nabożeństwa podniesiono kamień, otworzono trumnę, a gdy w niej od wieku blizko spoczywające zwłoki w zupełnym porządku znaleziono, winem je obmyto, w osobnej trumnie zamknięto, i ustawiono w murze z prawej strony wielkiego ołtarza. Od tej chwili pobożni szczególniejsze modły swe zwrócili ku błogosławionemu Władysławowi, we wszystkich cięższych przygodach i potrzebach pod opiekę tego świętego z ufnością oddawali się, zawsze ulgi i pomocy doznawali.

Zofia z Łubieńskich Kryska Kanclerzyna wielka koronna, dla tem większego uczczenia błogosławionego, oddzielną kaplicę własnym nakładem w kościele ojców Bernardynów w Warszawie wzniosła. Tam podczas odpustu, staraniem ówczesnego biskupa poznańskiego ks. Floryana Czartoryskiego, szczątki błogosławionego Władysława uroczyście przeniesione zostały, gdzie dotąd w szklannej trumnie w ołtarzu spoczywają.

Ojciec święty Benedykt XIV (czternasty) policzył Władysława w poczet błogosławionych, a następca jego Klemens XIII (trzynasty) w r. tysiąc siedmset pięćdziesiątym dziewiątym (1759) za patrona Polski, a osobliwie Warszawy i Gielniowa nadał, i pierwszą po ś. Mateuszu niedzielę miesiąca września na oddanie czci świętemu przeznaczył. Jakoż kościelna uroczystość błogosławionego Władysława w Warszawie u ojców Bernardynów, jak corocznie, tak i roku bieżącego w dniu dzisiejszym odprawia się.

O Księciu Dymitrze Wiśniowieckim
i
O Hryciu Rusinie.

(POWIASTKA)

I.

O skradzionem dziecku.

Książe Dymitr czyli Demetryusz Wiśnowiecki żył za sławnego króla naszego Zygmunta Augusta. Otrzymał on w spadku po rodzicach ogromne dobra na Rusi Czerwonej, na Wołyniu, i tam mieszkał w mieście swojem Wiśniowcu, które leży nad rzeką Horyniem w bardzo pięknem położeniu. Za owych czasów był w tem mieście wspaniały zamek murowany, oddawna należący z całem miastem do książąt Wiśniowieckich, bo też i od miasta Wiśniowca nazwisko ich pochodzi. Z jednej strony rzeka, a z drugiej dość wyniosłe góry otaczały ten mocny i wspaniały zamek. Za owych czasów wielcy panowie byli nieraz bogatsi, niż sami królowie; to też i książe Dymitr prócz Wiśniowca miał jeszcze kilkanaście miasteczek i kilkaset wsi. Tacy panowie mieli swoje nadworne wojsko, czasem i kilkanaście tysięcy ludzi wynoszące; stąd też nieraz, jak się uparli, to mogli dokuczyć do żywego i samemu królowi, i nieraz po swojej woli z pro-

stego szlachcica robili króla. Taka samowolność często szkodziła całemu krajowi, bo kraj i naród wtedy jest silny, kiedy wszyscy na równi jednych praw używają i słuchają.

Lecz za króla Zygmunta Augusta, który pochodził z rodu wielkiego wojownika Władysława Jagiełły króla Polski i Litwy, Polska była jeszcze bardzo silna, bo też poświęcenie się, zgoda i miłość panowały w kraju. Książe Dymitr na rozkaz króla bił nieraz Turków, Tatarów i innych nieprzyjaciół, nigdy woli króla nieprzełamywał w niczem, ale zobaczymy, że w tem nie wytrwał do końca.

Miał ten książe dwoje dzieci, syna i córeczkę. Z synem, co się zwał Jeremi czyli Jeremiasz, mającym wtedy lat 16, wyciągnął książe na wojnę, którą król Polski prowadził z Iwanem Groźnym carem moskiewskim. W zamku została żona z maleńką córeczką Praksią, tojest Praksedą, co zaledwo trzeci roczek miała. Było to dziecie prześliczne, oczka miała, jak niezapominajki, a włoski błyszczały, jak jedwab' jasny. Już od pół roku książe Dymitr wojował, kiedy raz, w czaśie choroby księżnej w piękny dzień majowy piastunka z jednym starym sługą dworskim i ostatnim wyszła z zamku na zieloną łączkę, by dziecinie pięknych kwiateczków nazbierać. W tych czasach bandy cyganów błąkały się wokolicy, ale blisko zamku jeszcze ich nikt nie widział. W tem zdarzyło się, że drogą od lasu wyszła stara jakaś cyganka, okryta w płachtę czerwoną, a pod pachą niosła jakieś zawiniątko. Jak teraz, tak dawniej ludzie wiejscy w swojej ciemnocie chętnie dawali ręce do wróżenia babom cygańskim. Więc też kiedy cyganka spostrzegła piastunkę z dzieckiem i sługą na łące przy drodze, zwróciła się do nich i prosiła o wsparcie, za co im pięknie wróżyć przyrzekła. Zgodzili się na to chętnie, cyganka usiadła przy nich na trawie, małe zawiniątko nieznacznie położyła na trawie na boku, z kolei wróżyła na dłoni piastunce i służącemu i niestworzone im prawiła rzeczy. Otrzymawszy za to kilka groszy, cyganka oddaliła się i wkrótce znikła w wysokiem zbożu. Kiedy już wracać mieli do zamku, spostrzegli w trawie owe białe zawiniątko. Podnosząc je, odwijają i spostrzegają krajankę sera i flaszeczkę niby wodą napełnioną. Ciekawa piastunka, zwyczajnie jak kobieta, odkorkowała flaszeczkę i dotknęła do języka.

— A otóż to wódka, wyrzekła, i patrzcie, jaka dobra! dodała. Potem przechyliła lepiej, aż bluknęło w flaszce i podała ją staremu Ostafiemu, niby druga Ewa, co to w raju wpierw zasmakowała w jabłku, a potem go Adamowi dała. Stary sługa niby drugi Adam wziął chętnie z rąk piastunki flaszeczkę i wychylił do reszty, a ocierając usta, powiedział:

— Nie ma w tem grzechu, boć pewnie tej cyganki już drugi raz nie zobaczymy, ma się gorzałczysko zmarnować, toć lepiej je wypić.

Ale nie baczni, nie wiedzieli, co robią: piastunka swoją ciekawością, a Ostafi swoją chciwością nawarzyli sobie piwa, bo oto ledwo wypili wódkę, aż tu mimowolnie zamykają się im powieki, i oboje kiwając się, przechylili się na trawę i zasnęli snem twardym. Snać cyganka umyślnie podłożyła im tę wódkę zaprawioną usypiającem zielem. Nie upłynęło też pół godziny, kiedy cyganka ze zboża wyszła i obejrzawszy się na wszystkie strony, podsunęła się do nich. A oni spali twardo i chrapali jak zarżnięci. Nie tracąc czasu cyganka, zrywa piękną chustkę z piastunki, owija w nią dziecinę spokojnie spoczywającą na trawie, uchodzi spiesznie w stronę bliskiego lasu i niknie w jego gęstwinie. Tam niedługo złączyła się z bandą cygańską, i stanęła przed jej przywódzcą. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, ogorzałej, czarno obrośniętej twarzy, a ponure jego spojrzenie strach wzbudzało w człowieku. Odziany był czerwonym płaszczem, a w ręku miał długi kij z ostrem na końcu żelazem. Zaszwargotali do siebie coś cygańską mową i niedługo banda gęstwinami lasu przedzierała się ku południowi. Tak idąc przez tydzień i karmiąc jagodami, wodą i chlebem płaczącą i przestraszoną dziecinę, zaszli aż pod miasto Kołomyję, blisko węgierskiej granicy leżące. Koło wsi Obertyna rozłożyli się w lesie, rozpalili ogień i posiliwszy się, jedni położyli się spać, a drudzy ich pilnowali. Banda składała się z dwudziestu blisko mężczyzn, kilku kobiet okrytych białemi, czerwonemi i zielonemi płachtami. Dziecina ciągle płakała. Stara cyganka głaskała ją, pieściła, lecz niczem utulić łez dzieciny nie mogła.

Musimy tu powiedzieć, dla czego to cyganie tak chciwi byli na dzieci. Mieli oni takie

wyrachowanie w podobnej kradzieży, że zazwyczaj porywając albo bardzo ładne, albo też bogatych rodziców dzieci, uczyli ich potem różnych sztuk, wyginań, tańcowania na linie lub też śpiewania i grania. Naturalnie, jeżeli były ładne, to chętniej im się każdy przyglądał i więcej dawał pieniędzy, jeżeli zaś były bogate, to dawali wiadomość tajemną ich rodzicom, że tam a tam dziecko znajdą, jeżeli w tem a w tem miejscu okup bogaty za nie podłożą.

Kiedy więc cyganie nocą w lesie spali, nieopodal w dużej porębie parobczaki ze wsi Obertyna konie paśli. Jednemu z nich koń zaszedł głębiej w las, więc poszedł za nim, żeby go zawrócić. Wtem słyszy jakieś kwilenie dziecka, słucha, nie myli się, wyraźnie dziecko płacze! Podchodzi co raz bliżej, przedziera się po cichu przez krzaki i spostrzega, jak się drewna na ognisku dopalają, a w około jacyś ludzie: to jedni śpią, to drudzy na około nich chodzą. W tem cygan brodaty powstał, przyłożył kilka drew na ognisko i niedługo płomień buchnął wysoko. Wtedy parobczak z za krzaków dobrze zobaczył bandę cygańską i małą dziecinę, w ładną sukienkę ubraną, jak ją stara cyganka po rączkach biła ze złości, że ciągle płacze i spać jej nie daje. Włosy na głowie stanęły parobczakowi, bo się domyślił, że to kradzione musi być dziecko, kiedy tak pięknie ubrane i tak bielutką ma buzię, nie jak cygańskie dzieci czarne, nigdy nie myte, opalone od słońca. Cóż tedy robi? Oto wraca się na powrót tak samo cichaczem i opowiada drugim parobczakom, co widział.

— Słyszycie chłopcy! zawołał do nich rusińską mową, jest nas dwunastu, trzeba odbić to biedne dziecko kradzione. Każdy z nas ma tęgi kij w ręku, podsuniemy się do nich po cichu, a potem wpadniemy z nienacka, rozbijemy i uwolnimy dziecko chrześcijańskie z tych rąk pogańskich.

— Zgoda, zgoda, Hryciu! zawołali wszyscy, prowadź nas, rozbijemy tych złodziei.

Tak też zrobili, jak Hryć mówił. Podeszli cicho, a potem jak nie krzykną, jak nie palnie każdy na upatrzonego, to nie upłynęło dwóch minut, a już dziesięciu cyganów leżało prawie bez duszy, tak ich dzielnie przywitali kijami. Ale druga połowa i wójt ich chcieli się bronić i nawet dwóch parobczaków ogłuszyli również kijami, ale to nie pomogło. Hryć tak wywijał pałką dębową po głowach cygańskich, że wójt i inni czując potłuczone kości, jęczeli od bólu na ziemi. Wtedy to Hryć, co od początku miał ciągle na oku babę z dzieckiem kradzionem, podniósł je z ziemi, bo je porzuciła baba, której też już nie ścigał, ani też innych kobiet i trzech cyganów, którym się udało umknąć i zniknąć w gęstwinie. Otulając z czułości przestraszoną i płaczącą dziewczynkę, Hryć otoczył się parobczakami i razem z nimi wróciwszy do swoich koni, prędko do wsi pojechał. Tam oddał w opiekę dziecko kobietom, a sam zwoławszy gromadę, tej samej jeszcze nocy poprowadził ją do lasu, gdzie poranionych cyganow zebrali, aby ich oddać w ręce sprawiedliwości.

Kiedy ich badano we wsi, skąd mają dziecinę? Odpowiadali wszyscy jedno, że je jadącej drogą jakiejś kobiecie zabrali. Ale jeszcze sąd z nimi śledztwa nie skończył, kiedy w najbliższą niedzielę w całej okolicy księża z ambon głosili, że jakaś cyganka ukradła śpiącej piastunce córeczkę księcia na Wiśniowcu, że zatem wzywa się każdego, aby doniósł strapionym rodzicom, czy gdzie ich córki nie widział, lub czego o niej nie wiedział.

Wróćmy się teraz na chwilę do zamku Wiśniowieckiego.

Kiedy piastunka i stary Ostafi nie wracali z małą Praksią do domu, a już słońce zachodziło, wysłała chora księżna dworskich, aby piastunkę zawołali na zamek. Dworscy przychodzą na łąkę, patrzą, aż tu leży piastunka i służący, i śpią w najlepsze, ale Praksi nie ma! Budzą ich, wstrząsają na próżno! śpią jak kamienie. Donoszą więc księżnie, co widzieli. Księżna w płacz, zaniemogła jeszcze mocniej, rozsyłają gońców na wszystkie strony, nic nie pomaga, ani śladu o biednej Praksi! Dopiero późno w noc, gdy obudziła się piastunka i służący, dowiaduje się księżna, jak cyganka uśpiła ich ową wódką i że zapewne ona skradła Praksię. Za dni kilka powrócił i książe Dymitr z wojennej wyprawy. Nowa rozpacz, nowe poszukiwania bez skutku! Na domiar nieszczęścia księżna leżała chora bez duszy. Niedbałą piastunkę i sługę książe wydalił z zamku zrazu, lecz potem zbadawszy dobrze ich mimowolną winę, powrócił ich do służby. Ale oni podziękowaszy księciu ze łza-

mi za tę dobroć, prosili go, aby im pozwólił iść w świat szukać dziecka.

— Dopóty nie wrócę do zamku, rzekł stary Ostafi, dopóki nie wynajdę dzieciny.

Ale niedługo dowiedział się książe, że poczciwy Ostafi siódmego dnia, jak wyszedł z zamku, umarł przy drodze w Ukrainie. Biedny starzec serce mu pękło z żałości, poszedł szukać dziecka zupełnie w inną stronę. I piastunka na próżno po drogach, wsiach i miastach błądziła.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

STARY BARTOSZ,

rodem z Gniezna.

Przed laty na ulicach miasta tutejszego
Widywano staruszka wiekiem sędziwego,
Który co dnia przed świtem dążył w progi Boże;
A przed furtą klasztoru stanąwszy w pokorze,
Czekał, aż ją dla ludzi zewnątrz odemknięto...
Tak, czyli dzień powszedni, niedziela, czy święto,
Czy upał, czy ulewa, mróz, albo zawieja,
Widać równo z dnia brzaskiem brata Bartłomieja,
Jak kijek swój ciosany w lewej dzierżąc ręce,
Bo prawą na dalekiej utracił wojence,
Wspiera nim potrzaskaną tamże lewą nogę.—
Broń Boże; aby wtedy zaszedł mu kto drogę,
Lub zechciał go jakąbądź zagadnąć rozmową.
Pomusnął starzec wąsa,—zmarszczył brwi surowo:
„Mówiłeś acan pacierz? Uczciłeś Maryję?—
„Pytał, — bo to przed wszystkiem, — chodź na Pry-[maryję.“
I zmięszanego wiedzie do pańskiej świątyni,—
Tam przy mszy kapłanowi sam posługę czyni,
A blade lica łzami zraszając szczeremi,
Za pomyślność tej swojej ofiaruje ziemi,
I błaga: gdy kaleka inaczej nie może,
Z tej jedynej dziś ręki przyjm posługę Boże.
A skrzepion wiarą wraca do poddasza swego.
Lecz w drodze zatrzymują wojaka starego
Kobiety i sąsiedzi—„Nasz Bartłomiej idzie,
Wołają,—choć sam biedny, rad nas cieszy w biedzie.“
I kąsek mu najlepszy, i słowo życzliwe
Dają, w dom z sobą wiodą: tak chwile szczęśliwe
Ubogiemu kalece spływają powoli.—
Choć i on kiedyś z Gniezna w lepszej zrodzon doli,
Zapamięta po dziś dzień, w gumnie i komorze
Dostatki ojca swego;—i krówki w oborze,
I wozik szybowany, i gniadosz podkuty
Jak stały pod wystawą. Nieraz obiad suty
Zgotowan, gdy gość przybył, a i konew miodu,
W komorze się znalazła. Ten dostatek z rodu
Na ród zdawna przechodził,— lecz gdy z towarzysze
Rzuciwszy młody Bartosz domowe zacisze,
Z nadzieją i otuchą pobiegł w kraj daleki,
Żegnając stare ojce może już na wieki,—
Za powrotem kaleka w obcej zastał ręce
Niwę przedtem ojcową, gdzie lata dziecięce
Przy boku macierzystym, tak przebujał błogo.—
Z bliskich mu już na świecie nie było nikogo,
Gdzież więc pytać, dochodzić? Łzą pożegnał strzechę,
I na grób ich ostatnią szedł czerpnąć pociechę!...
Taka to była kolej brata Bartłomieja,
Lecz nie zgasła tam w sercu wiara, ni nadzieja,
Sam od losu przyciśnion, krzepił braci ducha:
„Wierzcie, chwili nie wątpiąc, Bóg prośby wysłucha,
„Bo nie ludziom przenikać, mówił, sądy Boże,—
„Bóg dla nas miłosierny, więc nam dopomoże.“
A wspomnieć starcu młodość, popytać go o nią,
To mu zaraz, jak dziecku łzy z oczu się ronią.
Rzeknij mu słówko o niej, to go masz już w ręku.—
Uśmiechnie się w cierpieniu, czy w bólu czy w jęku.
Znali to dobrze wszyscy jego towarzysze.
Toż kiedy w towarzystwie przerwać chciano ciszę,
Idą ku niemu z prośbą: „Stary przyjacielu
„Powiedz co z czasów dawnych, boć to już nie wielu
„Zostało z was, którzyście widzieli te dziwy.“—
I zaczął,— a miał o czem, bo ośmdziesiąt trzeci
Rok życia już niedługo starcowi przeleci.
Z czasów tych, ileż wspomnień, ile miał pamiątek;
Z nich to zwykle wysnuwał opowiadań wątek,
Zebranych w okół,—słowy swemi wiodąc w kraje,
Gdzie wieczna jest zieloność, wonne kwitną gaje,
Boć to on tam się mężnie spotykał z Hiszpany.
Niejeden wzgórek został tam krwią jego zlany,
Tam obdarzon zasługi rycerskiej ozdobą,
Tam wodza osłaniając własną swą osobą,
Zostawił dłoń odciętą z szablicą na ziemi.
Odtąd dzielny wojak rozstał się ze swemi,
Bo niezdatny kaleka poszedł szukać chleba
Do ziemi swojej pośród rodzinnego nieba.
O wiele cnoty wielkiej było w jego życiu,
I wiele zasług zebrał, przed światem w ukryciu?
Nie jedną od pożogi ocalił on chatę,
W sercu swem tylko za to odnosząc zapłatę.
Nie jednej matce zwrócił zatracone dziecie,
A nie zliczysz wsparć jego po szerokim świecie;
Starcom, dziatwie, kalekom, sierocie i wdowie
Dopomagał jako mógł, to czynem, to w słowie.
Bóg jednak, aby zwiększyć cnoty sługi swego,
Słabość obłożną spuścił na starca biednego.
Odtąd zniknął Bartłomiej ze świata, z ulicy,
Przeniósłszy się z pod strychu do ciemnej piwnicy,
Lecz i tam o poczciwym wiedzieli poczciwi,
Życzliwa dłoń niewiasty i tam starca żywi,
A skoro się doń dawni zwiedzieli sąsiedzi,
Już się stary Bartłomiej o pokarm nie biedzi,
Zewsząd jadła, napoju znoszą mu obficie.

Lecz krótkie już Bartosza na tej ziemi życie,
Innego dłań pokarmu wkrótce będzie trzeba,
Bo dusza już co chwila podąża do nieba.
Pewnego dnia osłabiał bardziej, i od rana
Do świętych Sakramentów zażądał kapłana,
A wyjawiwszy winy, których miał tak mało,
I zasługi żywota przeżytego z chwałą,
Oczekiwał w spokoju, rychło Pan zawoła:
„Pójdź do mnie pracowniku, jać otrę znój z czoła!"—
I błogie mu na licu zabłysło wesele,—
Zeszli się towarzysze, dawni przyjaciele,
Sąsiedzi i znajomi, kobiety i dzieci.
Na każdej twarzy żałość nieudana świeci,
W milczeniu otoczyli Bartoszowe łoże,
A on głowę uniosłszy:—„Dziękuję o Boże
„Za dar ten, dar, za którym myśl nie jeden trudzi,
„Dziękuję Boże wielki, za tę miłość ludzi!"—
I płacz się rozległ głośny.— O, któż nas w potrzebie
Wesprze, wzmocni, pocieszy, gdy nie będzie Ciebie
Nasz Ojcze, gdy bez Ciebie zostaniem sieroty,...
Zatrą się dobre chęci, zbledną nasze cnoty;
Bo któż nam w ciężkiem życiu przewodniczyć będzie.
—Nie mówcie, bracia moi — Bóg nad każdym wszę-
[dzie,
Odrzekł Bartosz zwolna,—zaszlijcie westchnienie,—
Niechaj każdy ma czyste serce i sumienie,
Mienia ojców swych w zbytkach niech marnie nie
[traci,
Lecz złoży dla Ojczyzny, dla szczęścia swych braci.
A przyjmie Chrystus prośbę, ześle z niebios siłę!—
Wy, którym pieczę dziatek Bóg dał matki miłe,
Wszczepiajcie im te słowa z codziennym pacierzem,—
A one ich żelaznym osłonią puklerzem.
Bóg spełni prośby wasze, i wszystko znajdziecie,
A Bartosz się na tamtym rozraduje świecie!—
I upadł osłabiony, cisza uroczysta
Zaległa,— w niebo spieszy starca dusza czysta—
Ostatnia po zoranym licu łza mu płynie,
I stanął w wiekuistej szczęścia już krainie.
Dębowa trumna skryła ziemskie szczątki brata,
Zdawna przeznaczonego do lepszego świata.—
Tłum kalek, sierot, niewiast prowadzi je z płaczem,
I choć Bartosz w tem życiu był tylko tułaczem,
Zostawił skarb po sobie nad skarby bogaczy,
I skarb, jaki nie każdemu Bóg udzielać raczy.
Tak swietny, i w tak wielkiej przed Stwórcą jest ce-
[nie
Czyn wielki— piękne cnoty, i błogie wspomnienie.—

Różności.

—

Wielkie korzyści z pokrzywy.— Cokolwiek Opatrzność daje, to wszystko jest potrzebne, i ku pożytkowi człowieka dane. Lecz potrzeba, abyśmy umieli nad wszystkiem zastanawiać się, dobrze zważać i miarkować, co, kiedy i jakim sposobem spożytkować należy; przedewszystkiem zaś jak o ludziach, tak i o rzeczach nietrzeba sądzić z pozorów.

Właśnie z pozoru sądząc, nie umiemy korzystać z pokrzywy, a z niej rzeczywiście można mieć wielkie korzyści. Liście młode pokrzywy używają się na pokarm dla ludzi: u nas, we Francyi i Niemczech przygotowują je tak samo, jak szpinak, w Lotaryngii zaś często młode pokrzywy gotują, jak szczaw na zupę. Drobną posiekaną pokrzywę, z otrębami zmięszaną kury chciwie pożerają; posiekane znowu pokrzywy, z otrębami także i z mlekiem zsiadłym zmięszane, na ciasto w gałki zarobione dają się indykom, które bardzo to lubią i od tego prędko się tuczą. Liście w cienin suszone i pod dachem przechowane dają się krowom w czasie, zimy aby więcej mleka było. Ziarno pokrzywy dojrzałe, użyte na pokarm dla kur przyspiesza niesienie jaj. A nawet same łodygi zielone na wiosnę lub w lecie ścięte, posiekane, w cieniu dobrze wysuszone, i pod dachem przechowywane, aby niezwietrzały i niezatęchły, używają w zimie dla kur, zalewając takową siekaninę wodą wrzącą, ażeby odmiękła, a potem mięsza się z otrębami, ostudza i daje się; kury tak karmione dobrze się niosą.

Włukno z pokrzywy ma także wielorakie użytki; a to stosownie do tego, czy mniej lub więcej starannie obrobione będzie. Mniej starannie obrobione włukno pokrzywy używa się na worki lub na papier zamiast gałganów. Moglibyśmy mieć także z tego włukna cienką, mocną przędzę, bardzo wygodne i użyteczne tkaniny, jeżeli byśmy pilnie i umiejętnie chcieli się zająć sprzętem pokrzywy, a następnie uprawą i obrobieniem jej włukna.

Pokrzywa, mianowicie jej liście, łodygi, ziarna i korzenie używają się na lekarstwo, lecz tylko wtenczas, jak lekarz doradzi, i nauczy, jakim sposobem ma być użytą, czy samemu sobie można lekarstwo przyrządzić, czy kupić z apteki.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12, — półrocznie złp. 6. — ćwierćrocznie złp. 3 — miesięcznie złp. 1 na prowincyi na wszystkich stacjach pocztowych bez kopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 3 gr.10 za egzemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka egzemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 27 Września 1863 r.